

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 186.

№ 24. | Warszawa, 16 grudnia 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Sprawka łasicy.

Z FRANCYI.

Montresor (dep. Indre et Loire), *w listopadzie.*

Jak ten ptak, którego ślepy instynkt pcha z nastaniem pory chłodnej do krain cieplejszych, tak i ja od lat z górą dwudziestu odbywam przelot jesienny do pięknej Tourainy, dokąd corocznie zaprasza mnie na miesięczny pobyt właściciel Montresoru, Ksawery hr. Branicki, aby tam, w jego wspaniałej rezydencyi, odetchnąć innem powietrzem, nacieszyć się widokiem cywilizowanego społeczeństwa, zdala od huku bomb i bratobójczych browningów. Zdumiony byłem, gdym tu przyjechał, że ludzie chodzą po samotnych drogach i nikt nie myśli ich „wywłaszczać" z pieniędzy; nawet pojedynczy listonosze rozjeżdżają od wsi do wsi na rowerach bez eskorty, mimo że mają na sobie nieraz znaczniejsze sumy pieniężne; „obszarnicy" i wszelkiego rodzaju „burżuje" żyją za pan brat z chłopami, robotnikami i innymi „proletaryuszami", podają im przyjaźnie rękę, a nie widać między nimi nawet śladu boczenia się jednych na drugich; nikomu tu nie przyjdzie na myśl palić z rewolweru w leb swemu bliźniemu za to tylko, że on chce pracować, bo inaczej żona jego i dzieci z głodu by pomarły: patryotów nazywają tu jeszcze patryotami, a nie „samolubami narodowymi". I to wszystko dzieje się w kraju, który ma za sobą kilkanaście wieków wysokiej kultury. Prawda, że tam prawie niema tych kosmopolitycznych cywilizatorów, którzyby, jak u nas, chcieli cudzemi rękami wyciągać kasztany z ognia. Błogosławiony kraj!

Błogosławiony kraj! Wszędzie widzisz dobrobyt, domki schludne, z cegły lub kamienia ciosowego budowane, drogi bite na wszystkie strony, ziemię znakomicie uprawioną, twarze uśmiechnięte i zadowolone. Czuje się tu swobodę i opiekę, więc też każdy wdycha pełną piersią to czyste powietrze, napawa oczy widokiem kraju, który, dzięki pracy i energii, przyszedł do znakomitego dobrobytu i dziś korzysta ze wszystkich jego dobrodziejstw.

A cóż tu za poszanowanie cudzej własności. Rolnik, wychodząc na robotę, drzwi zostawia otwarte, drzewa owocowe rosną spokojnie wśród pól samotnych, a winnice, niestrzeżone przez stróżów specyalnych, plon obfity wydają. Na jednym tylko punkcie Francuz zapomina o 7 em przykazaniu Boskiem: zwierzyna jest dla niego kąskiem tak łakomym, że na jej widok zapomina o prawach Boskich i ludzkich. Czy w narodzie tym tkwi jeszcze do dzisiaj zabytek romańskich poglądów, że zwierzyna to *res nullius*, to coś, niemające właściciela; czy inne są po temu powody, dość, że niższe warstwy społeczne we Francyi pod tym względem żadnych skrupułów nie doznają, mimo iż uczciwość jest podstawową cechą ich charakteru. Kłusownictwo też rozwielmożnia się tu w sposób zastraszający, przynosząc niebywałe szkody hodowcom zwierzyny. Dziś żaden właściciel polowania nie może liczyć na pewno, że zapowiedziane na jutro polowanie uda się lub nie, bo w nocy, mimo czujności straży leśnej, lub polnej, przybyli, Bóg wie skąd, agenci którego z licznych we Francyi syndykatów kłusowniczych, oczyszczą pola z kuropatw i bażantów. Doszło też do tego, że na wielkich polowaniach, jak np. u barona Rotszylda, sprowadza się kuropatwy z Niemiec lub z Węgier i dopiero rankiem w dzień polowania, puszcza się je na tereny ku temu przeznaczone.

Kłusownik w polu operuje siecciami, w lesie zaś, po gąszczach lub w licznych żywopłotach zastawia wnyki, poczynając od cienkich, z drutu mosiężnego, a kończąc na grubych, przeznaczonych na sarny, łanie lub nawet dziki. W jak wielkich ilościach bywają sidła te zastawiane, świadczy dowodnie wypadek, że w roku bieżącym w Montresorze znaleziono na niewielkiej przestrzeni aż 80 wnyków, przeznaczonych widocznie na sarny, bo zrobione były z grubego, żelaznego drutu, używanego powszechnie we Francyi w winnicach do rozpinania winnej latorośli. Opisałem już podobny wypadek, jaki nam się zdarzył przed kilku laty w tej samej miejscowości. Wówczas straż leśna zdjęła siedmdziesiąt kilka wnyków.

Walka z kłusownictwem we Francyi jest bardzo trudna, bo prawa przeciw temu występkowi są względnie łagodne, a fundusze, jakiemi rozporządzają syndykaty kłusownicze, wystarczające, aby kary pieniężne wyrównać, a w razie skazania na więzienie, zapewnić rodzinie uwięzionego przyzwoite utrzymanie.

List barona Morgensterna do przyjaciela, bankiera Abendsterna.

(*Dokończenie*).

W moich rewirach, gdzie legiony zwierząt gubią się na niezmierzonych obszarach, kazę wybudować u stóp ogromnej skały cudny zamek myśliwski o wysokich wieżach i tarasach marmurowych. Jakie to wielkie uczucie, że tak cudownie przebywam w *mojej* przyrodzie, gdzie na każdym pniu jest *mój* monogram, jako znak posiadania; gdzie *mój* ozon orzeźwia płuca, czar *mojego* lasu raduje serce, przejęte błogą rozkoszą; że wszystko, co tak szeroko słońce opromienia i okrywa różowym blaskiem, jest moją własnością, przezemnie zapłaconą! Któż mógłby postąpić inaczej, jak ze szczerego zachwytu, z gestem i spojrzeniem człowieka pewnego siebie, zsunąć kapelusz z czoła ku tyłowi, wsadzić wielkie palce w zieloną kamizelkę i podeprzeć się pozostałymi palcami, i rozciągnąć się, żeby brylanty z obu rąk rzucały świetliste snopy błyskawic, a na szerokiem morzu przyjemności, dumna pierś falowała, jak żagiel.

Tutaj też mogę używać rozkoszy myśliwskich w całej pełni i zwyciężać zwierzynę prochem i ołowiem!

Cały rok prawie polowałem. Gdy głuszec „zagrał", to chłopiec myśliwski, który „wyśledził" ptaka, często mię prowadził za rękę, zanim jeszcze dniało, między ciemnemi jodłami. Wtedy trzeba było buszować przez gęstwiny i krzaczki nieraz dwie długie i ciężkie godziny, aż wreszcie rozlegała się w zmierzchu, bohaterska pieśń miłosna podzielona na strofy. Jak tylko się słyszy, że głuszec gra, przyczem wybija takt skrzydłami (dopóki mu kula nie przerywa miłości), to myśliwy musi być chytry, żeby śpiewaka nie stropić, i musi zachować ostrożność i spokój. Zaiste, ostrzegam każdego, żeby nawet ręką nie nie wskazywał. Cicho, jak pająk, który przędzie nitki swej sieci, ma być człowiek, i tylko gdy pieśń rozlega się głośno, w pauzach — przyczem ptak nie widzi ani nie słyszy —, można ostrożnie podskakiwać przez liście i gałęzie od drzewa do drzewa i szybko, jak cień we śnie ulotnym, posuwać się w przestrzeni leśnej. A gdy się już jest na dobry dystans i dnieć już zaczyna, strzela się, a wtedy albo się ma szczęście i koguta, albo on ucieka i myśliwy robi „plajtę", czyli pudłuje.

Na moich polach uwija się mnóstwo zajęcy o długich słuchach. Szaraki dają się podchodzić bar-

Oprócz kłusowników-profesyonistów, każda okolica posiada też raubszyców z pośród miejscowej ludności, zwykle fermierów, parobków folwarcznych, lub mieszkańców wsi i miasteczek, którzy zwierzynę kradną przy pomocy wnyków, częściej jednak z bronią palną, do czego niemało przyczynia się bardzo skomplikowana szachownica drobnej własności.

Te wszystkie względy wpływają, że Francya posiada mniej zwierzyny, aniżeli na to pozwalają warunki gruntowe i klimatyczne. Mimo to jednak, kraj ten można zaliczyć do bardzo w zwierzynę bogatych, osobliwie zaś północne jego i środkowe części. Rok obecny był jednak mniej sprzyjający rozwojowi drobnej zwierzyny, — zające i kuropatw, na co wpłynąć musiały częste, ulewne deszcze wczesną wiosną. Ucierpiały widocznie na tem zające i siwe kuropatwy, które lęgą się znacznie wcześniej, aniżeli kuropatwy czerwone. Wszędzie też zauważyć można było ubytek pierwszych z nich. Rezultaty tegorocznych polowań ubytek ten wykazały. Tak np. doroczne polowanie, urządzane na polach w bezpośredniem sąsiedztwie Montresoru, dawało średnio od 150 do 200 kuropatw i 40—50 zajęcy. W tym zaś roku padło ledwie 76 kur (w czem bardzo mało siwych) i 10 zajęcy. W kilku innych rewirach, a także na polowaniach u sąsiadów montresorskich, mogliśmy zauważyć ten sam ubytek.

Nie wiodły się tu nam i polowania w lesie z gończymi na grubego zwierza, mimo że dzików było sporo. W dzień Ś-go Huberta polowaliśmy w rewirze „la Niverdière“, a nasz Ś-ty Patron był jeszcze na nas dość łaskaw, bo zabiliśmy dnia tego jelenia i rogacza. Udało nam się też jeszcze jedno polowanie, na którem zabiliśmy trzy dziki i rogacza. Ale ja mówię „zabiliśmy“, jakgdybym i ja brał czynny udział w tej rzeczi niewiniątek! Tymczasem na leśnych polowaniach prześladował mnie „pech“ tak straszny, że w 8-iu dniach polowania nie zmierzyłem się nawet do żadnego zwierza. Pod koniec tak zobojętniałem na to moje nieszczęście, że jeździłem na polowanie jakby na jaki spacer, a nie na łowy, w których czynny udział brać miałem.

Mówiąc o polowaniach z gończymi, nie mogę pominąć milczeniem ciekawego wypadku, jaki zdarzył się podczas naszej bytności w Montresorze jednemu z sąsiadów, p. Bartonowi, Anglikowi, który posiada wielką psiarnię specyalnie na dziki. Zapalony ten sportsmen forsuje dziki, a następnie je kłuje, w czem uchodzi za prawdziwego mistrza. Otóż pewnego razu goniony dzik uszedł do stawu, liczącego 80 hektarów (około 160 morgów) powierzchni i całkowicie zarośniętego wysoką trzciną. Psy poszły za dzikiem, lecz nie mogli tego uczynić myśliwi, którzy, oczywista rzecz, konno za polowaniem dążyli. W trzcinach słychać było zajadłe ujadanie, znak, że psy dzika stanowią; potem wszystko ucichło, lecz żaden pies nie wyszedł. Okazało się, że zarówno dzik, jak i wszystkie psy (a było ich trzynaście) wśród gęstych trzcin, nie mogąc ani pływać, ani gruntu pod nogami nie mając, potonęły. P. Barton poniósł wielką stratę, bo zginęły mu najlepsze psy z całej psiarni.

Przypomina mi to inne, podobne zdarzenie, o którem czytałem przed paru tygodniami w gazetach francuskich. Niedaleko Clonmel, w Anglii, sławna zgraja psów z Tipperary goniła jelenia, który przeciął linię Great Southern and Western Railway. W chwili, kiedy część psów znajdowała się na plancie kolejowym, nadbiegł w całym pędzie pociąg pasażerski, zabijając na miejscu sześć psów bardzo cennych.

Dzisiaj w krajach tak cywilizowanych, jak Anglia i Francya, nietylko ludzie i zwierzęta muszą się wystrzegać licznych pociągów, przerzynających te kraje nieustannie w najrozmaitszych kierunkach, ale nawet zwierzyna łatwo od nich ucierpieć może. Zjawiło się też dla niej nowe niebezpieczeństwo, w postaci snujących się po wszystkich szosach samochodów. Często też zdarzają się wypadki przejechania królików, a nawet bażantów przez wehikuły, pędzące zwykle z szybkością 40, 60, a nawet 100 kilometrów na godzinę. Szalona ta szybkość nie daje czasu nawet ptakom tak bystrolotnym, jak bażanty, podrywać się w porę i stąd tak częste wypadki przejechania. Samochody dają nam też możność sądzenia w przybliżeniu o szybkości lotu niektórych ptaków łownych. Opowiadał mi p. Barton, że jeśli bażant ma czas poderwać się i rozpędzić, to uchodzi łatwo przed samochodem, idącym z szybkością 80 kilometrów na godzinę. Przekonać się mogliśmy naocznie, że i kuropatwa ma lot nadzwyczaj bystry, przewyższający napewno tę szybkość.

Pewnego razu polowaliśmy w Forêt de Loches, przecięty na wszystkie strony doskonałemi szosami

---

dzo blizko, mimo że mam broń nabitą; a może znają już mnie, swojego pana, tak doskonale, że nie uciekają i nie przerywają żerowania.

Mój stan sarn i jeleni jest, jak powszechnie wiadomo, najobfitszy w całym kraju. Na tę zwierzynę poluje się w najrozmaitszy sposób, szczególnie wtedy, gdy ona się parzy i zbiera się w duże stada. Kozła, to zwierzę ozdobne, wabię w rewirze następującym, przebiegłym sposobem myśliwskim. Staję na wekslu przy dobrem świetle do strzału, gdyż tu, jak mówią, zawsze się w końcu pokaże kozioł; zaczynam gorliwie „wabić“, jakby go koza wzywała na gody weselne. Kozioł w gorączce namiętności bierze głos instrumentu wabiącego za prawdziwy głos kozy, nastawi uszu i leci, jak zwaryowany, „*meszugene*“ agent giełdowy, prosto do mojej kryjówki, a ja wtedy albo mu kulę wsadzę w skórę, albo go tylko przestraszę łaskawym strzałem chybionym.

Gdy na jesieni jelenie „zaczynają się kochać“, to często robią między sobą straszne pojedynki. Jakie to śliczne widowisko dramatyczne! Ale takie pojedynki, mówię Ci rzetelnie, są trochę niebezpieczne, szczególnie dla mnie, początkującego łowca, ponieważ czasami taki byk, zamiast rzucić się z rogami na swojego rywala, może zechce bość niewinnego myśliwego zupełnie niespodziewanie. To też ja wolę w takich razach siedzieć na wysokiem stanowisku i stamtąd strzelać z góry.

Podobnie niebezpieczne jest polowanie na dziki, które lubią tratować ludzi racicami, a kłami to rozdzierają i spodnie i mięso ludzkie.

Niedawno ubiłem na śmierć jamnika brunatno-czerwonego, należącego do mojego towarzysza polowania: stało się to przez pomyłkę, która tak mnie rozgniewała, że znienawidziłem przez to lisy i kazałem całą tę głupią rasę wytruć w moim rewirze.

Niebezpieczne wilki nie pokazują się u mnie, za co niechaj Dyanie będą dzięki; to też spaceruję sobie czasami spokojnie po lesie sam jeden, szczególnie letnią porą.

Żadnych niedźwiedzi też nie widać, z wyjątkiem wypchanych w mojem muzeum.

Na dzikie kaczki i bekasy można u mnie polować, ale trzeba się ciężko napracować. Robię też często dobrą minę do złej gry, kiedy, polując na kaczki, przewracam się z czółnem i wpadam do wody; możebym już dawno utonął i nie żył, gdyby mnie towarzysze nie wyciągnęli jaknajprędzej.

Nie mogę też zamilczeć o bardzo smacznych słonkach, które także jest wygodniej spożywać, niż strzelać. Trzeba się najprzód napracować i stać i czekać strasznie długo, zanim się jedną ujrzy, a cóż dopiero zanim się ją ubije.

Za to na kuropatwy poluję za pomocą systemu, który jest zarówno piękny, jak przyjemny, i zawsze

W polowaniu tem brał udział sąsiad, p. Réné Raoul-Duval, który przybył do lasu swym samochodem. Gdy dzik ruszony, pójdzie swym zwykłym szlakiem, nie zawsze uda mu się zajechać zwykłym pojazdem, zaprzężonym w konie. Natomiast łatwo jest tego dokonać przy pomocy samochodu. Mieliśmy więc dnia tego samochód p. Raoul-Duvala pod ręką, i gdy psy dzika ruszyły, a ten wyszedł z miotu nieobstawionem stanowiskiem, wsiedliśmy we czterech do samochodu i ruszyliśmy ku znanemu przesmykowi z szybkością mniej więcej 40 kilom. Trzeba trafu, że po drodze w rowie przydrożnym znalazło się stado siwych kuropatw, które zerwały się z przed samego pojazdu, a ponieważ droga była okolona bardzo wysokiem starodrzewiem dębowem, więc, nie mogąc się wybić w górę, zmuszone były przed nami uciekać. Nic robiło im to jednak żadnej różnicy i za każdym razem wyprzedzały samochód z największą łatwością, zapadając w odległości kilkuset kroków. Pięć razy z rzędu podnosiliśmy stado i zawsze kury bez wysiłku pozostawiały samochód poza sobą. Dopiero za piątym razem znużone, skręciły do lasu i w nim się rozsypały. Duval przy każdem podniesieniu strzelał do nich, ale bez skutku. Było to prawdziwe polowanie *à la XX-me siècle*.

Tak to polowanie się reformuje i cywilizuje. Dawniej własne nogi, a co najwyżej koń, były jedynemi środkami lokomocyi na wszelkiego rodzaju polowaniach. Dzisiaj myśliwi, a nawet kłusownicy, mają do swych usług szybkolotne samochody.

Sezon nasz w Montresorze zakończyliśmy kilkakrotnemi polówkami na słonki, które w połowie listopada zaczęły dość gęsto nalatywać do Francyi. A teraz wracać trzeba pod nasze ołowiane niebo północy, aby na poczciwego szaraka zapolować. Żegnajcie mi dębowe lasy Tourainy, żegnajcie krzemieniem pokryte pola i winnice! Do przyszłego roku, da Bóg doczekać!

Jan Sztolcman.



Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(Dokończenie).

Myśliwy pojmie uczucie formalnego przygnębienia, które mną owładnęło po tym szeregu niefortunnych strzałów, których winę muszę wziąć naturalnie na siebie, lecz przyczyny wytłumaczyć nie umiem. Mierzyłem spokojnie, o chybieniu mowy być nie może, zresztą przy ostatniej sztuce widziałem wyraźnie, jak kula w śmiertelne miejsce ugodziła. Zaczynam myśleć, że chyba broń nieodpowiednia lub ładunki za słabe i kula, wyparta niedostateczną ilością prochu, nie jest w stanie przebić masywnych kości czaszki. Ta ostatnia przyczyna wydaje mi się najprawdopodobniejszą. Moje ładunki do 8 go kalibru zawierają po 6 gramów prochu, gdy słyszałem, że Anglicy nigdy mniej, niż 8 gramów nie używają.

Moja miłość własna cierpi na wyznaniu licznych i niefortunnych mych strzałów do słoni, lecz dla ścisłości prawdy notuję tu zdarzenia, jakie się odbywały, a może odnajdzie w nich amator, któryby emocyi polowania na słonie zażyć pragnął, radę i wskazówkę co do broni i amunicyi, z jaką się wybrać należy.

Mówią, że słoń, niepoległy martwy na miejscu, wylecza się zazwyczaj z rany w łeb; pociesza mnie zatem, że me postrzałki nie przepadną gdzieś marnie.

Z powyższych kartek widoczne, jaka mnogość słoni żyje w tej części Cejlonu. Jest to niezaprzeczenie rodzaj grubej zwierzyny w tutejszej dżungli najliczniej reprezentowany, i najłatwiej się z nim spotkać. Uderzyła mię też spora ilość słoniej młodzieży, którą spotkałem: niemal w każdem stadzie po kilka sztuk małych słoników świadczy o ciągłym przyroście, który swoją drogą niezbyt szybko się rozwija, bo słoń do 10-iu lat liczy się jako mały, a dopiero

---

bardzo wygodny. Idę w pole, zakryte pszenicą młodą, gdzie kury, w długi łańcuch ustawione, spożywają sobie śniadanko. Przybywszy, posyłam psa na szukanie, a on przerywa im „siestę". Gdy ujrzy kury, podnosi jedną nogę i na trzech staje przed stadem, jakby z kamienia wykuty, czekając mojej komendy: wtedy skacze naprzód, a kuropatwy zrywają się z ziemi i drżąc ze strachu, odlatują raptem. Ale moja strzelba już swoje zrobiła: jedną zabiła na śmierć, drugiej roztrzaskała kość skrzydłową lub nogę.

Największemu prześladowaniu ulegają złodzieje — sokoły i sępy. A wrony i kawki, kruki i sroki niech także dyabli wezmą! Strasznie dużo mnie kosztują, bo ciągle robią szkody. Musiałem już kazać zrobić „willę", czy budkę, z której tępimy je w towarzystwie puhacza. Tego ptaka przywiązuje się na zewnątrz, a myśliwy siedzi wewnątrz, nieraz kilka godzin, aż rabuśniki chcą się rzucić na biednego puhacza, wtedy myśliwy strzela do nich, a jeżeli chce także trafić, to musi czekać, aż usiądą na jakiem drzewie, bo latać to one umieją szybciej, niż niejedna jaskółka.

Ad personam, to tam się nie liczę bardzo z przepisami i prawami myśliwskiemi. Na to mam personel łowiecki, któremu płacę, jak książę panujący, to niech te zielone kurtki się pilnują i przestrzegają, co im każą wszystkie prawa. Ale ja się nie potrzebuję o to martwić.

W tej chwili właśnie, gdy to piszę, zwraca się do mnie mój leśniczy przez telefon ze słowami:

— Wielmożny Panie Baronie, Jaśnie Pana zajęczyce raczą się już kocić.

Muszę prędko pojechać w pole, żeby to zobaczyć, kończę już przeto swoje pisanie, w nadziei, że niezadługo znowu Ci coś napiszę.

Przesyłam Ci serdeczne *Adieu* i kłaniam się od pałacu do pałacu, jako potężny łowiec przed Panem.

Twój Zyguś
baron von Morgenstern.

Podług oryginału niemieckiego
opracował *J. Kamieniusz.*



wyżej lat 20-tu za wyrosłą sztukę jest uważany. Południowe rejony wyspy nie są najobfitsze w słonie; ma ich być znacznie więcej w górzystych prowincyach środkowych i północnych, gdzie się odbywają w pewnych odstępach lat t. zw. „kraale“, czyli ogromne, kilkunastomilowe przestrzenie zajmujące obławy, celem łowienia tych zwierząt dla późniejszego ich przyswojenia. Niezbyt dawne czasy, gdy sir Samuel Baker z dwoma towarzyszami, w okolicach Kandy, we trzy tygodnie, 50 — wyraźnie: *pięćdziesiąt* słoni ubił.

Nie na tem koniec perypetyj dnia dzisiejszego. Gdy odpoczywaliśmy nad brzegiem jeziorka, wygodnie rozłożeni na miękkiej trawie, w cieniu drzew rozłożystych, stadko bawołów przyciągnęło z gąszczu, by w skwarne południe pragnienie zaspokoić. Wychyliły się z gąszczu nad jeziorkiem tak niespodziewanie i blizko od nas, że nie wiedzieliśmy, co począć. Strzelby wisiały na poblizkiem drzewie, sami leżeliśmy na ziemi i najlżejszy ruch musiał nas zdradzić i bawoły spłoszyć.

Powoli przysunęły się do wody. Były trzy sztuki grube i dwie mniejsze. Dziwny urok dla myśliwego obserwować zwierzynę, która niepędzona ani straszona, rusza się w knieji swobodnie, nie przeczuwając blizkości człowieka, szczególnie gdy tło obrazu tak piękne, niezepsute żadnym szczegółem, odejmującym mu czarującą cechę dzikiej i dziewiczej przyrody. Miałem nadzieję, że bawoły wlezą do wody i w błocie kąpać się poczną, coby mi dało czas do strzelby się dostać; niestety, przez nieostrożność jednego z kulisów, który głośno się coś odezwał, bawoły nas spostrzegły i w dzikim poplochu do gąszczu umknęły.

Po południu udało mi się ubić jelenia-sambura, ładnego widłaka.

Co za dzień mogłem mieć dzisiaj, gdyby mi strzały do słoni były dopisały i kulis bawołów nie spłoszył!

Dopiero pod wieczór dociągamy do obozu po 10 godzinnych w dżungli peregrynacyach. Zastaję tu posłańca z Hambantoty z pocztą europejską i z wiadomością, że pana Murray'a niema w domu, zatem komisu strzelby załatwić nie mógł; lecz teraz już się bez niej obejdę, bo mój sztuciec i dzisiejsze strzały wytrzymał.

4 marca. Niestety, zbliżamy się już do kresu naszej wyprawy i od Mandagali ciągniemy z powrotem ku Hambantocie. Dziś przysunęliśmy się nad rzekę Yala i rozkwaterowali nad jej uroczym brzegiem.

Z powodu niedzieli odpoczywaliśmy dzień cały i siedzieli nad rzeką, bawiąc się widokiem zgrai małp, wyprawiających wesołe hopki w gałęziach drzew nad nami.

Anioł śmierci przeleciał dziś nad naszym obozem: wieczorem popłoch powstał w obozowisku naszych malajskich poganiaczy wołów, koczujących opodal naszego namiotu. Wpadł ktoś z oznajmieniem, że jednego z nich, gdy przez zarośla przechodził, wąż ukąsił w nogę. Co żyło w obozie, pobiegło na miejsce wypadku. Biedny Malaj leżał na ziemi, jakby w ostatnich podrygach, wijąc się w straszliwych kurczach, cały zsiniały i skrzywiony, jęcząc żałośnie. Na szczęście, ratunek był natychmiastowy. Już przed naszem przybyciem zdążyli mu byli nogę w kostce wyżej rany silnie podwiązać, aby jad w górę się nie dostał. W spuchłej stopie było widać cztery niewielkie, choć głębokie ranki. Po odstępie i znaku zębów znać, że wąż był duży, zapewne Tik Palanga (Vipera Russelii), z tego samego gatunku, co ów, który był powodem wypadku z mą strzelbą Lebedówką. Dwukrotnie wpił swe zęby w nogę ofiary. Soult przytomnie się znalazł, ratując nieszczęsnego Malaja; rozciął głębiej ranę, krew wycisnął, o ile się to dało, i wpuścił do rany kilka kropel czystego kwasu karbolowego, który tu zawsze musi być pod ręką. W zaciśnięte usta wleli mu mleka kokosowego i jakiś wywar zielny, a niebawem widocznem się stało, że biedny Malaj wykręci się od niechybnej śmierci, którejby uledz musiał, gdyby nie natychmiastowy, skuteczny ratunek. Rzadki to wypadek odratowania człowieka od ukąszenia jadowitego węża. Bogu dziękujemy, że uniknęliśmy tak przykrego wypadku w ciągu naszej wyprawy.

Istna plaga Cejlonu to węże, a specyalnie dwa ich gatunki jadowite, t. j. Cobra Capella i Tik Palanga. Cobrę raz tylko w dżungli spotkałem, leżącą wśród ścieżki. Setki ludzi padają ofiarą tych zabójczych gadów, i statystyczne dane wskazują rok rocznie, ilu mieszkańców Cejlonu umiera od ukąszenia wężów. Brak obuwia i ubrania u krajowców stanowi główną przyczynę złego, wskutek której każdy z nich na każdym niemal kroku w ciągłem niebezpieczeństwie życia się znajduje; dziwić się tylko można, że ich więcej nie ginie. Obuty Europejczyk rzadko podlega ukąszeniu i nieliczne są wypadki, aby „biały“ zginął od węża. Śmierć następuje rychło, i nic nie wstrzyma katastrofy, jeżeli ratunek natychmiast, w tejże chwili po ukąszeniu nie nastąpił. Podwiązanie, wypalenie rany lub zupełna amputacya członka ukąszonego — to jedyne sposoby ratunku; środków wewnętrznych medycyna ani praktyka nie zna. Słyszałem, że dobrze jest zaraz po ukąszeniu wlać w człowieka wódki, ile się tylko da, choćby przemocą, i chciałem ten sposób alkoholizacyi do dzisiejszego wypadku z Malajem zastosować, lecz reszta współziomków chorego sprzeciwiała się temu ze względów religijnych, mówiąc, że im, jako muzułmanom, wódki pić nie wolno. Siła wiary większa, niż obawa śmierci!

5 marca. Dziś ostatni dzień w dżungli polowaniu poświęcony; od jutra podwójnemi etapami do Hambantoty śpieszyć będziemy.

Noc jeszcze była, gdyśmy wyszli z obozu i przeprawiwszy się na drugi brzeg rzeki, znaleźliśmy się na szerokich, trawą zarosłych równinach, ulubionem miejscu wypasu bawołów. Każdy rodzaj grubej zwierzyny jest dla myśliwego i uroczy i ponętny, lecz pomijając słonie i największe felidy, nie znam zwierza, któryby mi więcej imponował i do myśliwskiej wyobraźni przemawiał, niż dziki bawół. Jedno z najmilszych wspomnień mej wyprawy zawdzięczam spotkaniom z tym wspaniałym dżungli mieszkańcem.

Świtać poczęło; gęste, białe mgły, jak przejrzysta zasłona, unosiły się nad łąkami, zalegając wokoło otwartą przestrzeń obszernych preryj; gdzieniegdzie tylko czerniał krzew tarniny, pojedyńcze drzewo smukłej akacyi lub karłowatej jabłoni. Dziki stadami plątały się w wysokich trawach, przemykając przez ścieżki i nie bojąc się przechodnia, jakby wiedziały, że się tu na nich uwagi nie zwraca; białe pelikany z rybami w grubych dziobach śpieszyły z rannego połowu z nad brzegów słonych jezior do gniazdowych kolonij; spłoszone pawie z wrzaskiem uciekały do gąszczu; czasem szakal chyłkiem się przemknął, z nocnej wracając wędrówki, najedzony padłem znalezionego postrzałka; drobne ptaszki wesołym śpiewem witały budzący się dzień boży; zdaleka morze huczało, górując głuchym szumem nad wszelkie inne głosy natury. Czerwona tarcza słoneczna wychylać się poczęła z za horyzontu, rzucając niezwykle, mglistym oparem przyćmione światło na krajobraz wokoło. Fata morgana tak wyglądać musi. Zaledwie przez lornetkę w białej mgle widoczny, ciągnął już sznurek bawołów do gąszczu, zadaleko jednak, aby mu drogę zabiedz. Samotnie stojąca bawolica, łatwa do rozpoznania po długich, cienkich rogach, zwróciła mą uwagę, lecz zostawiliśmy ją w spokoju, pragnąc z bykiem pojedynkiem się spotkać. Opodal pasło się znowu kilka sztuk, lecz i te puściliśmy bez strzału.

Wyszliśmy z łąk na czystą, piaszczystą równinę, jakby dno wyschłego jeziora. W pośrodku niego ku nam na sztych, na sto kilkadziesiąt kroków, stał bawół potężny, byk-pojedynek, dziwnie dużym się wy-

dający w bladem oświetleniu, na tle białej, milionem drobnych muszelek migocącej równiny. Patrzał na nas, jakby wyzywająco i wcale o ucieczce myśleć się nie zdawał. Podbiegłem do sterczącego w piasku pnia uschłej akacyi i powitałem go kulą z ekspresu. Byk skręcił się po strzale, zatoczył półkole i pełnym galopem, ze łbem w tył pochylonym, głośno sapiąc, prosto ku nam zawrócił Chybiony był, bo widziałem w strzale, jak kula obok niego w piasek ugodziła.

Stojąc za grubym pniem drzewa, byłem zakryty i czułem się zupełnie bezpiecznym; słyszałem tylko za sobą zamieszanie w gromadce mej świty, która gęsiego się za inną ustawiła. Za gorąco i za prędko drugi raz strzeliłem, chybiając kompletnie rozjuszone zwierzę. Schwyciwszy podaną mi zręcznie w oka mgnieniu przez Soulte, drugą strzelbę, wytrzymałem jeszcze sekundę i trzecią kulę posłałem, — pierwszą, która nie chybiła celu. Dopiero po niej bawół zreflektował się i skręcił w bok, dając mi możność drugiegiego strzału w komorę. Runął w ogniu, lecz dźwignął się i chrapiąc i dysząc, pocwałował w stronę jeziorka, opodal się ciągnącego. Pół dnia szukaliśmy go; kilku krajowców, obietnicą datku zachęconych, wzdłuż i wszerz przeszło wszystkie gąszcze i okoliczne kryjówki,— bawół jak w wodę wpadł. I rzeczywiście w wodę gdzieś wleźć musiał i zapchać się w niedostępne krzaki, w wodzie słonego jeziora rosnące, dokąd krajowcy, z obawy przed alligatorami zapuszczać się nie śmieli. Jestem pewien, że niedaleko uszedł i padł bez życia. Dla mnie zdobycz stracona, lecz nabyte wspomnienie najładniejszego spotkania, jakie miałem z cejlońskim bawołem.

Na zakończenie dnia bieżącego zabiłem jelenia-sambura, trzeciego w ciągu wyprawy. Prócz samburów i do danieli podobnych axisów, nie spotkałem na Cejlonie innego gatunku cervida. W górach ma żyć jeszcze jeden rodzaj, t. zw. „muntjak“, czyli Cervus vaginalis, tudzież gatunek antylopy o czterech rogach (Tetraceron quadricornutus), lecz bodaj czy ich istnienie na wyspie do przeszłości nie należy; w każdym razie bardzo są rzadkie i do zwyczajnej zwierzyny łownej zaliczyć ich nie można.

6 marca. Cofamy się dziś do Palatupana. Rankiem strzeliłem grubego odyńca. Jechałem na kucyku zwyczajną drogą kołową, wyprzedzając o pół mili cały tabor, gdy odyniec wyszedł z gąszczu i przystanąwszy na wzgórku, przypatrywać się nam począł, aż go kula na miejscu rozciągnęła. Śliczne ma kły, duże i niezwykle długie.

W Butawie, w miejscu naszego dawnego obozowiska, przystanęliśmy kilka godzin w czasie południowego skwaru. Szakale się tu po nas rozgościły, znęcone widocznie resztkami zwierzyny i kuchennych odpadków. Pomknęły z krzaka z pod miejsca, gdzie nasz namiot był rozpięty, i truchcika wokoło nas kołować poczęły, jakby nie chcąc opuszczać sympatycznej im miejscowości. Zostało mi jeszcze kilka ostatnich ładunków ekspresu, i pragnąłem w godny sposób na zakończenie je zużyć.

Tabor wysłaliśmy do rest-house'u w Palatupana na nocną kwaterę, sami zaś puściliśmy się pieszo bocznemi ścieżkami przez dżunglę. Zawiodły one nas do leśnego jeziorka. Wychylając się cicho z gąszczu, ujrzałem leżącego pod drugim brzegiem w wodzie, bawoła, po wielkości i rogach sądząc, pojedyńczego byka. Strzeliłem do leżącego; ciężko ranny, ledwo wydarł się z błota i wody, i zataczając się, zniknął w gąszczu. Obleciawszy jeziorko, ujrzeliśmy go stojącego pod krzakiem. Łbem się ku nam obrócił, ślepia mu krwią zaszły, chrapał ciężko i jucha mu waliła z pyska i nozdrzy rozdętych. Wściekle ku nam spoglądał, lecz chwiał się na nogach i sił mu brakło do ataku. Pięć razy jeszcze z Ferekiem strzelaliśmy do zwierza, nim ostatnia kula za ucho z nóg go zwaliła Wspaniały okaz starego byka martwy się rozciągnął. Był to ostatni *last not least*, epizod myśliwski naszej wyprawy.

Wynik jej przeszedł najśmielsze moje oczekiwanie: dwa słonie, pięć bawołów, trzy jelenie - sambury, dwa jelenie axis, dwa odyńce, sporo drobnej zwierzyny, mały zbiór ptaków, pomiędzy któremi kilka rzadkich egzemplarzy, wreszcie kolekcya rozmaitych motyli i owadów, złożyły się na ogólny rezultat trzechtygodniowego w dżungli pobytu, na którego kredycie pozostaje nadto zasób wspomnień najmilszych, jakich kiedykolwiek w myśliwskiej mej przeszłości doznałem.

Tu urywam swój dziennik, i pozostaje mi przeprosić tylko łaskawego czytelnika, który do jego końca towarzyszyć mi raczył, jeżeli znużyła go może jednostajność opisu przygód łowieckich, nieubrana w wykwintną formę barwnego opowiadania. Na mą obronę i wytłómaczenie powołuję się na tytuł tej książki, który z góry winien przestrzedz niemyśliwego o zakresie i treści tych skromnych „notatek myśliwskich“. Starałem się w nich skreślić ze wszelką ścisłością szczegółów myśliwskie me przygody z uwzględnieniem opisu rozmaitego zwierza, jego zwyczajów i sposobów polowania, i byłbym niezmiernie rad, gdyby kolega-myśliwy z naszego kraju, mający w zamiarze wycieczkę na Wschód daleki, mógł znaleźć w mej relacyi wskazówkę lub radę, któraby pożyteczną mu się stać zdołała.

* * *

Nazajutrz po epizodzie z ostatnim bawołem, stanęliśmy na noc w Kirinde, skąd szybkim marszem w jeden dzień drogi zdążyliśmy do Hambantoty. Pana Murray'a, niestety, nie zastaliśmy w domu, i ominęła mię sposobność złożenia mu osobiście podzięki za usłużną pomoc, którą nam przy układaniu i w ciągu całej wyprawy okazał.

Tabor nasz z ciężkim bagażem i pakami przeróżnych trofeów, skór, rogów i t. p., porzuciliśmy w Hambantocie do czasu odejścia najbliższego okrętu, a sami puściliśmy się lądem w podróż powrotną do Colombo. Dzień i noc wlekliśmy się częścią na brycе wołowej, częścią tłukliśmy się w niewygodnym wehikule pocztowym, nim dobiliśmy do Point de Galle. Zawdzięczam tej powrotnej podróży, której bynajmniej ani wygodną, ani nawet łatwą nazwać nie mogę, że przynajmniej szmat kraju na Cejlonie widziałem. Droga prowadzi z Tangalle, gdzie porzuciliśmy nieznośną brykę wołową, ciągle wzdłuż morza się wijąc, przez okolice gęsto zaludnione i żyzne. Jeden nieprzerwany ogród najbujniejszej roślinności i gajów palmowych milami się ciągnie; w nim na pół schowane chaty krajowców, których życie domowe i tysiączne zajęcia gospodarskie przesuwają się, jak w kalejdoskopie, przed okiem podróżnego.

Droga prowadzi przez miasto Matara, gdzie zmieniamy konie i znajdujemy wypoczynek i znakomite śniadanie w dużym rest-housie.

Po południu zdążamy do Point de Galle, przebywszy jednym ciągiem we 26 godzin wołami i końmi długą przestrzeń 120 mil angielskich, dzielącą Hambantotę od Galle. Stąd już tylko dwie stacye do kolei żelaznej, której szczęśliwie uchwycony pociąg tegoż dnia wieczorem dowiózł nas do Colombo, przerzucając odrazu z dzikiej dżungli w odmęt wielkomiejskiego ruchu i cywilizacyi. Po kilku dniach przybyła statkiem z Hambantoty nasza karawana, i sporo miałem zajęcia z wypłatą ludzi, uporządkowaniem bagażów, pakowaniem trofeów i t. p. Tydzień szybko minął w Colombo i w sam dzień mego patrona wsiedliśmy na statek, płynący do Marsylii, który miał nas z powrotem zawieźć do Europy.

Z żalem patrzyliśmy z pokładu na niknące w oddali, brzegi Cejlonu, gdzie tyle miłych chwil minęło, które na całe życie pozostaną w pamięci.

Wspomnienia z polowań na najgrubszego zwierza w dalekich krainach wiecznego słońca i przecudnej natury, nie zacierają się przez lata i nigdy nie

stracą na żywości w pamięci myśliwego, choć zawiśnie na kołku może na zawsze ciężki sztuciec wielkiego kalibru o połamanej i drutem zespolonej kolbie, która pozostanie zawsze pamiątką spotkania się z monarchą dżunglowej fauny w uroczej knici „rajskiej wyspy“.

Antoniny, w maju 1894 r.

Albert Mniszek.

JARZĄBEK.

(Tetrastes - Bonasia).

(*Ciąg dalszy*).

Kto chce nauczyć się wabić jarząbka, musi być do pewnego stopnia muzykalny, musi mieć dużo sposobności obcowania z naturą i zdolność wnikania w jej tajnie, musi przedewszystkiem mieć zdolnego i biegłego w tym fachu, nauczyciela.

Rozmaite są śpiewy jarząbka i dadzą się podzielić na główne i poboczne. Przedewszystkiem te pierwsze są dla myśliwego nadzwyczaj ważne i do wyuczenia, się niezbędne, gdy te drugie grają rolę pomocniczą, często jednak naśladowanie ich w połączeniu z pierwszemi, pomaga do osiągnięcia rezultatu.

Chociaż przekonany jestem, że z książki nikt wabienia jarząbka, jak wogóle żadnej innej sztuczki myśliwskiej się nie nauczy, jednakowoż dla uplastycznienia jarząbkowych pieśni, wezwę do pomocy nuty i podam, według Valentinitscha podobizny jego głównych trzech śpiewów, a mianowicie główny koguta (fig. 1) i dwa główne kury (fig. 2 i 3).

Fig. 1.

Śpiew koguta (fig. 1), który niemiecki myśliwy nazywa „das Spissen“, to najczęściej słyszany głos tego ptaka i najczęściej naśladowany przez myśliwych, najłatwiej też wyuczyć go się można. Ma ten śpiew jednak rozmaite drobne waryacye, zależne od rozmaitych okoliczności, głównie od wieku ptaka.

Jarząbki zmieniają swoją mowę w miarę dojrzewania i starzenia się. I tak, jako małe odzywają się sposobem kurcząt domowych. Od sierpnia zaczynają już próbować właściwej im mowy (fig. 1), lecz z początku bardzo niewyraźnie, tak jakby wymawiały tsi—tsitsi. Mowa ich poprawia się z tygodnia na tydzień widocznie, a przy rozwiązaniu się stada, dochodzi już do doskonałości. Młody kogut nie różni się głosem od starego, chyba o tyle, że śpiewa wyższym tonem.

W każdym razie wszystko jest jedno, czy myśliwy starego, czy młodego koguta naśladować będzie, byle to naśladownictwo było dobre. Cietrzewia starego na toku można łatwo zwabić, udając młodego. Ptak zwabiony głosem młodszego rywala, pędzi, by go od boku kury odrzucić, i żądny jest walki, czując nad młodym przewagę w sile. Z jarząbkiem jest rzecz inna. Myśliwy, jak to już mówiliśmy, gra nie na uczuciu miłosnem ptaka, lecz na jego uczuciu przywiązania rodzinnego, odpada więc żądza walki i dlatego jest obojętnem świeżo po rozwiązaniu się stad, jakiego jarząbka się naśladuje, starego, czy młodego, koguta, czy kurę, byle, powtarzam, wabienie to było wiernem naśladownictwem na kury.

Śpiew główny kury (fig. 2), mający w bogatem, niemieckiem słownictwie łowieckiem nazwę „das Bisten“, odróżnia się od głosu koguta tak znacznie, że nawet niewprawione ucho różnicę te spostrzedz musi. Głos ten jest szeregiem nieczystych i niewyraźnych, syczących tonów.

Drugi główny śpiew kury (fig. 3) składa się z długo ciągniętego, jednego, sykliwego tonu, po którym następuje długi, bardzo subtelny, z dwóch tonów składający się trel.

Fig. 2.

O ile pierwszy śpiew kury jest do naśladowania wcale łatwym, to drugi śpiew jej, mianowicie drżący ten trel, jest prawie nie do zimitowania.

Śpiew kury słyszy się w lesie nadzwyczaj rzadko; są starzy myśliwi jarząbkowcy, którzy śpiewu jej nigdy nie słyszeli i naśladować go nie umieją, chociaż wabienie tym głosem jest tak samo dobrem i przydatnem, jak wabienie głosem koguta.

Wspomnieć jeszcze wypada o śpiewach pobocznych jarząbka. W łowiectwie mają one pewną wartość i czasami przydać się mogą, o ile myśliwy je naśladować z ksiąg przyrody się wyuczy.

I tak usłyszeć możemy:

1) Krótki, trzęsący się śpiew podobny do: Tszoju-ju. Głos ten wydają zwabione ptaki, gdy siadają na drzewie. Do tego śpiewu dołączają się często zgłoski, bebe, bebe, który to głos wydają zwykle kury zwabione, idące piechotą.

2) Stare, na pół zwabione i podejrzliwe koguty, wydają głos: „Koj - koj - koj - koj“, kończący się wyższemi i szybszemi tonami, brzmiącemi: „Kwi - kwi - kwi - kwi. Koguty takie są w stanie kwadransami całemi w ten sposób na wabienie odpowiadać, nie ruszając się z miejsca, tak, że myśliwy, słysząc tę odpowiedź, prawie napewno zdobyczy się nie doczeka. Valentinitsch twierdzi, że kogut, tak śpiewając, jest zupełnie głuchym i można go doskonale podejść, byle przystawać, gdy śpiew przerywa, t. j. zachować te reguły, jakie obowiązują przy podchodzeniu głuszca wśród pieśni. Udawało mu się tak śpiewające koguty, na 15 kroków podchodzić, w ten sposób, że w chwili, w której ptak na wabienie tym śpiewem odpowiadał, on robił krok naprzód.

Fig. 3.

3) Zwabione koguty wydają bardzo rzadko głos brzmiący: sui, sui, si, si, si, si.

4) Również koguty tak samo rzadko bardzo wydają głos brzmiący: towi, towi, towi, zupełnie podobny do wiosennego śpiewu sikory większej (Parus major). W ten sposób odzywają się koguty bezpośrednio przed zerwaniem się, gdy usłyszą wabienie.

5) Według Valentinitscha, odzywa się czasem

kura: gekgekgek. podobnie jak kury cietrzewi i głuszców.

6) Zwabione jarząbki, idące po ziemi, odzywają się często: pit. pit. pit.

7) Jarząbki zwabione, a nagle spłoszone, odzywają się często przy zrywaniu się, ciężko brzmiącem, a trudnem bardzo zgłoskami do wyrażenia: tititititi — kiulkiulkiul.

8) Przelatujące jarząbki odzywają się często zgłoskami: pi, pi, pi.

Jarząbki nie lubią milczeć, ani latem, ani zimą. Najwięcej jednak okazują ochoty do śpiewania od lutego do maja, t. j. w okresie tokowania i lęgu, jak również od sierpnia do listopada, w którym to czasie grają na nucie przywiązania rodzinnego i wzajemnej do siebie tęsknoty.

Najważniejszym czynnikiem obok broni palnej na polowaniu na jarząbki, jest dobry wabik. Jest on dwojaki, naśladujący głos koguta lub głos kury. Oba są dla myśliwego niezbędnie potrzebne, lecz oba niestety, rzadko się kiedy trafiają dobrze skonstruowane. Dobry wabik na jarząbki jest ten, który sam sobie myśliwy zrobi, a kupiony w handlu zwykle jest zły, lub wielkiej poprawki potrzebuje.

Wabiki na koguty są wyrabiane z kości, metalu i drzewa: najlepszemi są wyrabiane z kości łopatkowej zająca lub dużego kota. Do wyrabiania wabików na kury służy nikiel, mosiądz, albo srebro. Jest to płaska, próżna, z równemi po obu bokach, otworami, blaszka.

Nie potrzeba jednak sobie wyobrażać, że skonstruowanie dobrego wabika na jarząbki jest rzeczą trudną. Trzeba mieć tylko wprawę, rutynę, a przedewszystkiem ucho, by potrafić odróżnić tony dobre od fałszywych. Sama manipulacya jest nader prosta i łatwa. W Styryi i innych alpejskich krajach monarchii każdy leśnik ma doskonały wabik, według którego można sobie łatwo drugi zrobić i tony, jak należy, uregulować. Tak samo kupiony w handlu, można łatwo, jeżeli trzeba, do właściwych tonów nastroić.

Myśliwy w Styryi, wybierając się na jarząbki, bierze z sobą dwa wabiki na koguty, a jeden na kury; zawiesza je na obu końcach sznurka około 40 cm. długości, który poprzednio przez dziurkę od najwyższego przy ubraniu, guzika przeciąga.

Wszelkie dłubanie w masie (zwykle w wosku), w którą jest wabik wewnątrz zaopatrzony, jest szkodliwem i psuje często ten instrument zupełnie. Jeżeli tony okażą się nieczyste, wystarczy wabik przepłukać zimną wodą.

Według „Lloyda", dochodzą w krajach północnych myśliwi w robieniu wabików, do takiej wprawy, że wycinają naprędce gałązki z drzewa i robią z nich piszczałki, na których doskonale i natychmiast wabią, jeżeli niespodziewanie w lesie na jarząbki natrafią.

Przejdźmy teraz do opisu właściwego polowania z wabikiem.

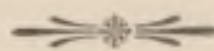
Jak już mówiliśmy, są to łowy wyższego rzędu, łowy godne prawdziwego myśliwca, a kto wśród górskiej, ślicznej przyrody w cichy, ciepły, jasny dzień jesienny spędził na uprawianiu tych łowów choćby kilka godzin w życiu, wie, ile mają one uroku i jak są pełne subtelnych i nie do zapomnienia, wrażeń.

Nie są to wrażenia potężne, wstrząsające nerwy, jakich się doznaje, gdy się wśród wieków siłą zwalonych pni i skalnych złomów, ryczącego jelenia usłyszy, nie są to wrażenia, jakich się doznaje na widok na wiekowej jodle grającego głuszca, do którego dochodzi się zmęczonym i zdenerwowanym. To całkiem jest co innego!

Jesień stroi już swoją harfę na nutę serdecznej tęsknoty. Żółkłe liście ścielą się cicho bez skargi u nóg twoich. W otaczającej cię przyrodzie, w jasnem słońcu wrześniowem, w szumie wiatru po starej, mieniącej się już purpurą, buczynie niema potęgi zimy lub lata, jest słodycz, upojenie, same tęskne, mollowe akordy.

(*C. d. n.*).

(*„Łowiec"*).



PRÓBY POLOWE WYŻŁÓW
pod Nowym-Peterhofem.

Oddział hodowli psów rasowych, dorocznym zwyczajem, urządził w pierwszych dniach września próby polowe wyżłów na myśliwskich terenach W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza pod Nowym-Peterhofem. Do konkurencyi stanęło w r. b. tylko 18 psów, z których 8 w pierwszem polu, a 10 starszych, gdy lat poprzednich zapisywano po 50 psów. Za to między psami w pierwszem polu okazało się kilka okazów tak wybornych, że bardziej szczegółowe opisanie ich roboty nie będzie zapewne bez interesu dla czytelników „Łowca Polskiego".

Próby polowe urządzane bywają przez O. H. P. R. podług metody angielskiej, a zatem bez podziału konkurentów na dwie kategorye: psów okładających szeroko i szybko, oraz psów powolnych. To też ta ostatnia kategorya, jako niemająca żadnych szans zwycięztwa, nigdy do konkurencyi nie staje, a zapisywane bywają wyłącznie settery angielskie i irlandzkie, oraz pointery. Nawet settery szkockie, jako cięższe i powolniejsze, nie zjawiają się na próby polowe. W r. b., w kategoryi psów w pierwszem polu, zapisano 4 angielskie settery, 3 pointery i 1 settera irlandzkiego: w kategoryi psów starszych wystąpiło do konkurencyi: 5 setterów angielskich, 3 irlandzkie i 2 pointery.

Próba psów młodych odbyła się 1-go września, przy bardzo sprzyjającej, jasnej pogodzie i słabym wietrzyku, wiejącym od zatoki. Na pierwszy ogień wystąpił Top, angielski setter p. Malamy, prowadzony przez strzelca Raduszina. Przy nodze pies szedł spokojnie i na żądanie prawidłowo przywarował (down). Puszczony swobodnie, Top wykazał prawidłowe, silne chody i dobre, szerokie okładanie. Górnym wiatrem Top zawęszył cietrzewia, którego wystawił efektownie. Doprowadzanie jednak do zwierzyny jest u tego psa niezadawalniające; posuwa się on zbyt wolno do ptaka, za co zresztą należy winić prawdopodobnie układającego. Ogólne wrażenie: Top jest doskonałym psem roboczym z wybornym wiatrem i chodami.

Następne dwa psy: Bor, setter irlandzki p. Chrienowa, i Pallada, angielska setterka p. Czerwiakowa, niczem się nie odznaczyły.

Czwartym puszczony był Pirat, pointer p. Zeesta, pies z dobrymi chodami, prawidłowem okładaniem i zadawalającym wiatrem. Wogóle robił wrażenie silnego i pewnego psa roboczego. Ujemne strony: nie dość lekkie doprowadzanie i niedość spokoju po wystrzale.

Rob de Blanche-Terre, angielski setter p. Malamy, szedł u nogi strzelca Łoktiewa spokojnie i prawidłowo wykonał down. Rob ma silne i piękne chody i wybornie okłada, a również posiada bardzo dobry wiatr, co wykazał doskonale, zawietrzywszy cietrzewia i doprowadziwszy do niego zupełnie prawidłowo. Zachowanie się psa po strzale wyborne. Ogólne wrażenie nadzwyczaj dodatnie, tak pod względem wrodzonych zalet jak i ułożenia. Jest to prawdziwy, stylowy fieldtrialer pierwszej klasy.

Mab, pointerka p. Lede, jest znakomicie ułożona przez strzelca Łoktiewa. Bardzo dobrze szła u nogi i wykonała down; również dobrze sprawowała się po

strzale. Chody ma lekkie i dobre, a okłada zupełnie prawidłowo. Mab wystawiła bardzo dobrze bażanta, a potem cietrzewia, zawietrzywszy tego ostatniego w pełnym galopie, przez co wykazała wyborny wiatr. Doprowadza delikatnie, ostrożnie i nadzwyczaj wiernie. Wogóle jest to wyborny pies z natury i tresury.

Pozostali dwaj konkurenci, Dina, angielska setterka p. Galla, i Fay, pointer p. Niepokojczyckiego, nie zasługują, żeby się niemi bliżej zajmować.

Ukończywszy próby w pojedynkę, sędziowie zadecydowali, że kandydatami na pierwsze trzy miejsca są bezwarunkowo obydwa settery p. Malamy i pointerka p. Lede. Bezpośrednie miejsce za niemi należało się Piratowi. Oprócz powyższych, postanowiono jeszcze sprawdzić przez próbę parami kwalifikacye Pallady i Diny; Borowi za wrodzone przymioty, przyznać list pochwalny, a Fay'a od dalszych prób usunąć.

W pierwszą parę puszczone były Top i Pirat, przyczem Pirat, choć także bardzo dobry pies, okazał się niższym od Topa pod względem wiatru.

Robota drugiej pary, Roba i Mab, była bardzo interesującą i zasługuje na bliższe rozpatrzenie. Oby dwa psy okładały pełnym galopem, nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Rob zawietrzył górnym wiatrem i stanął; Mab podeszła i sekundowała mu. Rob, na rozkaz strzelca, zaczął lekko i ostrożnie prowadzić, przyczem przeskoczył przez rów, przeszedł drogę, przeskoczył przez rów po drugiej stronie i o 80 kroków dalej wystawił i prawidłowo podniósł cieciorkę. Mab przez ten czas z początku stała, a następnie przywarowała na tem miejscu, na którem zaczęła sekundować Robowi, a nie poszła za nim, przez co dała poznać, że i ona ma swego ptaka. Strzelec, z Robem za nogą, wrócił do suki i kazał jej iść naprzód; jakoż Mab zaczęła wolno prowadzić i niedaleko stanęła twardo nad przyczajonem cietrzewiątkiem. Takie prawidłowe zachowanie się obydwóch konkurentów nie dało możności sędziom przysądzenia jednemu z nich pierwszeństwa.

Przy próbie Mab z Topem, obydwa psy zachowywały się jednakowo dobrze, wystawiwszy każdy po kilka bażantów zupełnie prawidłowo. W końcu jednak sędziowie przyznali Topowi pierwszeństwo.

Za to przy próbie Topa z Robem, uznano Roba za mającego lepszy wiatr i bardziej lekkie doprowadzanie. Tym sposobem powtórna próba Roba i Mab stała się zbyteczną, gdyż Rob pobił Topa, a Top pobił Mab.

Próbowano jeszcze w parach Pirata i Dinę, oraz Palladę i Dinę, przyczem Pirat znowu okazał się bardzo dobrym psem, Pallada wywarła daleko lepsze wrażenie, niż przy pierwszej próbie, a Dina pozbawioną została prawa na jakiekolwiek odznaczenie.

W rezultacie przyznano następujące nagrody:

Nagrodę pierwszą, cenny przedmiot i wielki, złoty żeton od O. H. P. R., a także srebrny żeton od Warszawskiego Oddziału T. R. P., otrzymał Rob-de-Blanche-Terre, ang. set. p. Malamy.

Nagrodę drugą, cenny przedmiot i mały, złoty żeton od O. H. P. R., ang. set. Top tegoż właściciela.

Nagrodę trzecią, cenny przedmiot i duży, srebrny żeton od O. H. P. R., a także bronzowy żeton od Warszawskiego Oddziału T. R. P., pointerka Mab, p. Lede.

Nagrodę czwartą, cenny przedmiot i mały, srebrny żeton od O. H. P. R., pointer Pirat p. Zeest.

Oprócz tego sędziowie przyznali listy pochwalne: Palladzie, ang. set., p. Czerwiakowa i Borowi, irlandz. et.,s p. Chrienowa.

Następnego dnia, 2 września, odbyły się próby psów starszych. Pogoda zmieniła się; rano, podczas pierwszej próby, padał deszcz przy silnym wietrze; potem deszcz ustał, lecz wiatr dął do wieczora. Zapisanyhc było, jak to już wspomniałem, 10 psów, lecz przyjąwszy na uwagę, że dwa z nich t. j. Mab i Top, już poprzedniego dnia konkurowały w liczbie psów młodych, to właściwie, w ciągu obydwóch dni, próbowano tylko 16 psów. Mab i Top, aczkolwiek będące dopiero w pierwszem polu, nie ulękły się konkurencyi z psami starszemi i okazało się, że pewność ich właścicieli była zupełnie uzasadnioną.

Przystąpiono odrazu do prób parami i po wielu sprawdzaniach i powtarzaniach, których opis zająłby za dużo miejsca, za najlepszą uznana została pointerka Mab, pobiwszy Topa, który ją pobił dnia poprzedniego. To nam wskazuje, jak trudnem jest przysądzenie pierwszeństwa jednemu z psów, prawie równych pod względem wrodzonych zalet i doskonałości tresury. Poprzedniego dnia sędziowie postawili Mab na drugie za Topem miejsce za to, że w jednym wypadku wykazała trochę słabszy wiatr, następnego zaś dnia, inny komplet sędziów uznał Topa za gorszego za to, że nie dał się odwoływać ze stójki, podczas gdy Mab wykonywała to bez oporu.

Wogóle przyznano trzy nagrody i dwa listy pochwalne, a mianowicie:

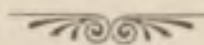
Pierwszą nagrodę, cenny przedmiot, duży, złoty żeton O. H. P. R., oraz złoty żeton Cesarskiego Tow. Pr. Myśl., otrzymała Mab, pointerka p. Lide.

Drugą nagrodę, — cenny przedmiot, mały, złoty żeton O. H. P. R., złoty żeton Moskiewskiego Towarzystwa myśliwskiego i złoty żeton imienia A. M. Ryżowa, przysądzono ang. set. p. Malamy, Topowi.

Trzecią nagrodę. — cenny przedmiot, wielki, srebrny żeton od O. H. P. R. i złoty żeton Warsz. O. T. P. M., zdobył irlandzki setter Rappo pana Tolstoja.

Oprócz tego przysądzono dwa listy pochwalne: Daisy, ang. set. inżeniera Ryżowa i Iskrze, irl. set. p. Tolstoja.

Za wyborne ułożenie Roba-de-Blanche-Terre i Mab, strzelec Cesarskiego polowania, Łoktiew, otrzymał pierwszą nagrodę (50 rb.), a strzelec p. Malamy, Raduszyn, za ułożenie Topa, trzecią nagrodę (30 rb.). Drugiej nagrody nie przyznano.



W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(Ciąg dalszy).

27 września. Jakżeż przykre przebudzenie w dniu, który się zapowiadał tak interesująco. Mam trochę gorączki, uważam jednak za zbyteczne uciekać się o poradę do głośnego d-ra Kocha. O godzinie 4-ej, w chwili, gdyśmy wjeżdżali do zatoki Napoleona, moja choroba się skończyła, udaję się więc na pokład, aby towarzyszyć odjazdowi pasażerów do Ripon-Falls, gdyż zdecydowałam się nie jechać z nimi. Wspaniała łódź, z 12-ma wioślarzami przybywa, aby zabrać „Herr Professora" i jego dwóch asystentów, których doktorowie z Jinja mają zawieźć do źródeł Nilu.

Panowie Bradney i Grosling udają się wraz z Henrykiem na ląd. Kapitan zapowiada mi burzę, winszując, że nie dałam się skusić na wycieczkę do źródeł Nilu, które znajdują się o 20 minut drogi. I rzeczywiście, wkrótce potem rozpoczyna się ulewa tak silna, jakiej jeszcze dotychczas nie widzieliśmy, pozbawiając mnie reszty żalu, żem się nie dała namówić na tę wycieczkę.

Wszyscy lekarze jedzą obiad na statku, a głównym przedmiotem ich rozmowy jest, ma się rozumieć, śpiączka. Pułkownik Bruce znalazł, że mucha tse-tse jest przyczyną choroby. Dr. Koch utrzymuje, że odkrył punkt wyjścia dla wojny krzyżowej uczonych przeciw tej chorobie, lecz, jak dotychczas, odkrycia jego kończą się na tem. Przyszedł wszelako do tego wniosku, że tse-tse nie przenosi zarazków z innych organizmów na człowieka, lecz że te zarazki tworzą się bezpośrednio w jej organizmie. Ten sam wypadek zachodziłby także z epizootiami, którym tse-tse daje początek.

28 września. Opuszczamy zatokę Napoleona z brzaskiem dnia. „Herr Professor" spędza dzień na przyglądaniu się otaczającym widokom. Ma on wygląd nie pretensyonalny i dobrotliwy, pomimo swych złotych okularów, znamionujących uczonego. Obaj jego asystenci nadają sobie bez porównania więcej tonu. Zatrzymujemy się na noc w pobliżu Port Florence.

29 września. Przed opuszczeniem „Sybila" zjadamy śniadanie, poczem udajemy się do zajezdnego domu, aby tam złożyć nasze bagaże. Następnie idziemy na pocztę i na rynek Kavirondo. Po zjedzeniu lunchu wsiadamy na pociąg o godzinie pół do 3-ej. W Kibigori znajduję długi list Guy'a; otrzymuję go w samą porę, ażeby się nieco rozerwać. Następnie z okien mego wagonu widzę „topigy" (*Damaliscus corrigum jimela*) i steinbucki, co mi zajmuje czas aż do Muhroni, gdzie jemy obiad w towarzystwie pasażerów „Sibila".

Noc zapada właśnie w chwili, kiedy chcieliśmy nacieszyć się widokiem pierwszych rozgałęzień tak osławionych „Mau-Escarpement".

30 września. Przybywamy do hotelu w Naivashi o pół do ósmej rano i po zrobieniu na prędce toalety, spożywamy śniadanie w towarzystwie p. Seymour'a (który dosiadał Maura podczas wyścigów). Znajdujemy tu trzech innych pasażerów. Jeden z nich opowiadał, że literalnie wlazł na lamparta, lecz mając w lufach tylko śrót, chybił go, poczem zwierz umknął. Drugi z nich miał przez całą noc wokoło swego namiotu kompletną sarabandę zebr; straciły one głowy, prawdopodobnie gonione przez lwa. Trzeci z nich jest wielkim trucicielem lwów, lampartów i hyen. Te ostatnie jednak próbują tylko zanęty i wynoszą się, aby już nigdy nie powtórzyć tej próby; natomiast lwy i lamparty padają zatrute na miejscu. Zresztą, używa on do tego po 4 uncye strychniny! Mój Boże, jakżeż ja jestem daleko od dżungli, słuchając tego wszystkiego.

Po tem wszystkiem Henryk i ja bierzemy się ostro do pracy; przeglądamy kolejno skóry, czaszki, nogi i pakujemy to wszystko do skrzyń. O godzinie 2-ej odstawiamy nasz bagaż na stacyę. Pohoni, tragarz, który podczas całej wyprawy nic nie robił, zapomniał widać, jak to się bierze ładunek na głowę. W braku silniejszych argumentów Guy'a, naznaczam mu za to karę pieniężną.

O 5-ej wracamy do domu i dzień kończy się bez żadnych ciekawszych wypadków.

1 października. Rankiem zajmuję się łowieniem motyli. Po śniadaniu idziemy do p. Dundas'a, którego zapytujemy dlaczego flaga jest w połowie masztu. Jakież jest nasze zdziwienie, gdy nam odpowiada, że sir Donald zmarł na zapalenie płuc, którego nabawił się, polując na kaczki w Gilgil.

Wróciwszy, widzimy piękną zebrę, przywiązaną przed hotelem. Seymour nabył ją w fermie rządowej, która likwiduje swoje interesa, za 25 funtów szterlingów, dzięki wyjątkowzm zaletom zwierzęcia: można tej zebry używać pod wierzch, do zaprzęgu i Seymour ma nadzieję użyć jej do obsługi stacyi. Zebra znajduje się w doskonałej kondycyi i nie jest bynajmniej dziką. St. Maur przechadza się wkoło nas swobodnie.

O 5-ej idę do pani Hobley, która przebyła pięć dni na Kinankopie. P. Hobley zabił tam „little tusker'a (słonia z małemi kłami).

Wieczorem rozmowa toczy się prawie wyłącznie około osoby zmarłego sir Donald'a: jedni wychwalają jego grzeczny sposób traktowania wszystkich — o czem mogliśmy się przekonać osobiście, — inni zapytują, czy następca nie zniweczy jego dzieła; są i tacy, którzy zadają sobie pytanie, czy nie zostanie przysłany na jego miejsce jaki srogi wojak, który będzie toczył walki ze wszystkiemi plemionami, pozostawiając odłogiem sprawę kolonizacyi, tak leżącą na sercu niezapomnianemu gubernatorowi. Naraz p. Seymour wykrzykuje tonem żałośnym: — A zresztą rząd może przysłać nam kogoś takiego, co nie będzie się znał na wyścigach, nie będzie ich lubił, a nawet będzie im wprost przeciwny. A wtedy co się stanie z wyścigami? Jeśli „commissioner" nie będzie ich popierał, to przepadną napewno...." I Seymour wpadł znów w ponure milczenie.

2 października. O pół do ósmej siadamy do pociągu. Linia kolei prowadzi wzdłuż brzegu jeziora na znacznej przestrzeni; oświetlenie jest piękne; wszystko to pozostawiam za sobą z milionami wspomnień, które się wiążą z licznemi zebrami, bubalisami, antylopami Thomsona etc. etc... które biegają po otwartej równinie.. Potem spostrzegamy juniperusy, pola uprawne krainy Kikuyu, a wkrótce przybywamy do Nairobi.

Aby iść na śniadanie, przywdziewamy kostyumy bardziej miejskie. Spotykamy tu sporo starych dam i podtatusiałych mężczyzn, którzy rozmawiają o sprawach towarzyskich, o sporcie, o „grubej zwierzynie". W samej rzeczy należy odróżnić jedną Afrykę od drugiej.

Spotykamy tu miłego p. Groslinga, który mi daje dwie bardzo ciekawe marki pocztowe. Przypomniał mu się Henryk, jak kolekcyoner, kiedy to u samych źródeł Nilu zwrócił się najprzód z zapytaniem: „gdzie tu jest biuro pocztowe"?

Ci sami Somalisi, co i za pierwszym naszym pobytem, kręcą się z miną zaaferowaną, przypominając mi owego shikarisa pewnej znakomitej osobistości, która zapragnęła kiedyś zapolować na nosorożca. Jego Somalis zaprowadził go do miejscowości, gdzie otropił zwierza. Europejczyk tak się zaplątał w gęstej dżungli, że się prawie z miejsca ruszyć nie mógł. Wówczas shikari rzecze do niego: „Możesz pan zostać na miejscu, nie ruszaj się... „Furou" (nosorożec) jest z dobrym wiatrem, wkrótce zawietrzy cię i przyjdzie tutaj; będziesz pan mógł wtedy strzelać". Powiedziawszy to, Somalis wdropał się na drzewo, pozostawiając myśliwego własnemu losowi. Jakoż w samej rzeczy nosorożec wkrótce nadbiegł, myśliwy go chybił i ledwie uniknął śmierci.

3 października. Dzisiaj pakuję ptaki, oraz przewietrzam skóry lwów. Jakiś młody, siedmioletni Szkot, przechodząc, robi uwagę: „Two lions", bez najmniejszego zdziwienia! Sądzę że i mój Roland i Olivier przyzwyczają się do nich w Génillé równie dobrze, jak i w Afryce.

O g. 11-ej Henryk przywołuje mnie gwałtownie: „Ekscelencya Allgeyer. Ekscelencya!" Ekscelencya w samej rzeczy wysiadł z pociągu i nadchodził, aby ze zwykłym sobie wdziękiem zasięgnąć nowin o mojej podróży. O godzinie 2-ej udajemy się na stacyę, aby wyekspedyować nasze ostatnie pakunki do Mombasy, a później udajemy się do misyi.

Monseigneur przechadzał się z OO. Burchem, Kuhnem i Bugeaud'em (ten ostatni, młodziutki mężczyzna, przybył dopiero wczoraj). Ekscelencya wyszedł na nasze spotkanie i prowadzi nas zaraz do sióstr, gdzie zgromadzone dzieci śpiewają „poemat" na przyjęcie biskupa. Siostry nie mają nam za złe, że bierzemy udział w ich uroczystości. Wracamy potem do ojców. Ekscelencya pokazuje nam swoje plantacye, do których nasiona sprowadzone zostały po większej części z Natalu. Następnie przerzucamy rękopis dzieła o mi-

syach, które Ekscelencya przygotowuje do druku. Dzieło to jest ozdobione zajmującemi fotografiami, na których Ekscelencya jest przedstawiony w najrozmaitszych fazach swego życia karawanowego podczas swej misyi ewangelicznej w Afryce.

Musimy wreszcie myśleć o powrocie. Zabieramy z sobą ojca Kuhn'a, przyszłego budowniczego katedry w Nairobi, który wybudował już katedrę w Zanzibarze, nie mówiąc o piętnastu latach, spędzonych na Martynice. Wszystkie te trudy przypominają mi zdanie pewnego oficera na statku „Sybil"—bynajmniej nie katolika—, który mówił, że tylko nasi misyonarze pełnią swe funkcye z powołania, gdy tymczasem misyonarze protestanccy myślą tylko o robieniu grosza, a panny-misyonarki mają jedynie na celu wyszukanie sobie mężów z pozycyą.

Wróciwszy do domu, zastaję depeszę Guy'a: „Jutro przybywam".

(*C. d. n.*).

Walka ze lwami i tygrysami.

Po opisanych w „Łowcu Polskim" dwóch wypadkach, jednoczesnych napadów lwów w cyrkach w Warszawie i Berlinie, zaszły znowu niezmiernie sensacyjne wypadki podobne. Wstrząsająca scena rozegrała się w d. 26 listopada r. b. w berlińskim cyrku Schumanna. W chwili bowiem, gdy popisujący się tam pogromca dzikich zwierząt, chciał wykonać swój zwykły „trick" z podwójnym skokiem wielkiego tygrysa, zwierzę, widocznie podrażnione, odmówiło posłuszeństwa, groźnie mrucząc. Ale pogromca Henricksen nie dawał za wygraną i ostro zniewalał tygrysa do wykonania skoku. Wówczas tygrys potężną łapą zadał mu ranę na obnażonem ramieniu. I to nie zniewoliło Henricksena do zaniechania „pokazu". Gdy więc po raz drugi, mimo okaleczonej ręki, zwrócił się do tygrysa, ten podniecony widokiem krwi, płynącej z rany, rzucił się na swego pogromcę, przewrócił go i zadał mu mnóstwo ran. Mimo to Henricksen nie stracił zimnej krwi i dobywszy rewolweru, strzelił ślepym nabojem do rozszalałej bestyi. Wówczas tygrys puścił swą ofiarę. W jednej chwili Henricksen stanął na nogi i strzelając raz po raz w powietrze, wpędził tygrysa, oraz inne zwierzęta, niemych świadków zajścia, do klatek, poczem cały skrwawiony ukazał się publiczności. Opatrunek nałożono odważnemu pogromcy w pobliskiej klinice d-ra Hoffa.

Podobno Henricksen uważa swe rany obecne, bardzo ciężkie, za lekkie w porównaniu z temi, jakie otrzymał cztery lata temu od dwóch niedźwiedzi polarnych. Mówią też, iż Henricksen zapowiadał, że ukaże się na arenie i zmusi nieposłusznego tygrysa do wykonania tego nieszczęsnego skoku, który omal że go nie kosztował życia. Henricksen jest młodym, 26-letnim, atletycznej postawy mężczyzną. Żona jego z powodu takiego samego przypadku, jaki go spotkał obecnie, od kilku lat znajduje się w zakładzie dla nerwowo chorych.

Pogromca Peters, którego w cyrku Buscha poranił lew, kilka dni przepędził w klinice na kuracyi. Mimo bolesnych ran, wyczekiwał z niecierpliwością chwili, gdy będzie mógł powrócić do swoich zwierząt. Był przekonany, iż lew-winowajca przy pierwszem zetknięciu z nim, będzie pokorny, jak baranek, a co do innych zwierząt, to utrzymywał, iż ryczeć będą radośnie, gdy usłyszą jego głos. Zdanie męża w zupełności podzielała pani Peters, mała, szykowna blondynka, która nie trwożyła się i nie dziwiła zupełnie chęci powrotu męża do swej, bądź co bądź niebezpiecznej pracy.

Na wieczór w dniu 6-ym grudnia zapowiedziano nowy występ Petersa. Rano odbył pogromca próbę, która wypadła szczęśliwie. Ponieważ nosił jeszcze rękę na temblaku, dodano mu, jako pomocnika, pogromcę Feldmanna, którego zwierzęta również znały.

Przedstawienie wieczorne rozpoczęło się przy przepełnionej sali, a publiczność w naprężeniu oczekiwała na produkcyę tresury zwierząt. Wreszcie na środku areny ustawiono olbrzymią klatkę; nad miejscem lwa, który rzucił się na Petersa, umieszczono napis „Leo, sprawca zamachu". Pogromcę powitała zebrana publiczność entuzyastycznemi oklaskami. Rozpoczęła się produkcya. Ale w chwili, gdy Peters zmuszał jednego z tygrysów do skoku, lew „Leo", obserwujący pogromcę z nieufnością, zaczął znowu objawiać wzburzenie. Pomocnik Petersa, zwracając na lwa baczną uwagę, rzucił mu na głowę kawałek drzewa. Lew otrząsnął się, a gdy Peters podszedł ku niemu, ujrzał przed sobą groźnie otwartą paszczę. Obaj pogromcy z pomocą strzałów rewolwerowych i drewnianych wideł starali się utrzymać zwierzę w szachu. Tymczasem jednak z tyłu zaczęły się ku nim skradać tygrysy, gotowe w najbliższej chwili do skoku. Wśród publiczności zapanowało nieopisane przerażenie, rozległy się głośne okrzyki: „Uważać!" „Tygrysy!". Peters i Feldmann obrócili się, ale w tej chwili wszystkie lwy zeskoczyły na ziemię i zaczęły się ku nim zbliżać.

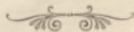
Wobec groźnego usposobienia zwierząt, pogromcy musieli się uznać za pokonanych i opuścić klatkę. Udało się im to jeszcze na czas. Zwierzęta poczęły przechadzać się po klatce, tylko „Leo" pozostał na swym postumencie. Służba skorzystała z tego i zarzuciła buntownikowi na kark silny sznur. To znowu doprowadziło zwierzę do wściekłości. Lew rzucał się gwałtownie, chcąc zrzucić pętlę. Ale przytrzymywało ją silnie ośmiu ludzi. Tymczasem kilka lwów i tygrysów rzuciło się na powalone zwierzę i poczęło je szarpać zębami. Lwu udało się wreszcie przerwać pętlę, w klatce rozpoczęła się dzika walka. Zebrana publiczność z przerażeniem rzuciła się do ucieczki, przy wyjściach zapanował straszny natłok. Wreszcie pogromcy i służba cyrkowa zapędzili rozszalałe zwierzęta do klatek, przedstawienie dalsze odbywało się jednak już przy niewielkiej liczbie widzów.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 12 grudnia. Księgarnia Idzikowskiego złożyła ofertę na dostawę pism do czytelni Oddziału. Ponieważ Zarząd nad biblioteką i czytelnią objął sekretarz Oddziału, p. Paszkowski, przeto Rada pozostawiła do uznania p. P. przyjęcie lub odrzucenie rzeczonego zgłoszenia.

W d. 5 grudnia Oddział nasz obchodził sympatyczny jubileusz. W r. b. upływa 10 lat od pierwszego polowania zbiorowego, urządzonego przez nasz Oddział dla Członków. Odbyło się ono na gruntach wsi Kocierzewo pod Kutnem, gdzie Towarzystwo dzierżawiło tereny, przeważnie dla polowania na kuropatwy. Na owem pierwszem polowaniu zabito 65 zajęcy, a wogóle w owym roku zabito do 150 kotów. Jakże to mały rezultat w porównaniu z dzisiejszemi, jakie osiąga Towarzystwo na swoich dzierżawach, na których pada do 1,000 zajęcy rocznie!

Jubileusz ten odchodzono wspólną biesiadą, w której przyjęło udział 50 osób. Nastrój biesiady był koleżeński i bardzo serdeczny.



Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

Na pol w u u w d. 20 października w dzierżawionych przez kółko myśliwych z Noworadomska lasach dominium Kodrąb w 15 strzelb zabito: 5 kozłów, 18 cietrzewi, bażanta i 84 zające. Królem polowania był dr. I. Gurbski, mający na rozkładzie 3 kozły, cietrzewia i 12 zajęcy.

W Wilkowie i Wiedzei w W. Ks. Poznańskiem u dzierżawcy, p. Dudaja, odbyło się w d. 3 listopada polowanie w 20 strzelb ze 100 ludźmi naganki. Ubito 440 zajęcy, 20 królików, 10 bażantów, razem 470 sztuk. Królem polowania był profesor Kiekebusz z Poznania.

W d. 23 listopada odbyło się polowanie w Baranówce, gub. podolskiej, u pana Maryana Baranieckiego w 7 strzelb,na którem zabito w ciągu 4-ch godzin: 41 zajęcy, 32 bażanty i 2 szkodniki. Królami polowania byli znakomici myśliwi podolscy, pp: Kazimierz Krassowski i Stanisław Skibniewski; pierwszy miał na rozkładzie 9 zajęcy, 8 bażantów i sowę; drugi—8 zajęcy i 9 bażantów.

W d. 23 i 24 listopada odbyła się trzecia serya dwudniowych polowań w ordynacyi Radzyńskiej w W. Ks. Poznańskiem na granicy Szlązku u ks. Sułkowskiego. Polowano tylko w polu, w kotły. Padło razem przez te dwa dni 2,066 zajęcy, 4 króliki, 102 kuropatwy, 11 bażantów, 1 drop i 61 sarn, w czem przez omyłkę 3 kozły. Królem łowów był gość z Królestwa, p. K. Witkowski, mający na rozkładzie 298 sztuk. Wprost fenomenalna ilość sarn, które tylko żyją w polu przez cały rok, zmusza gospodarza prosić myśliwych, aby strzelali do dużych sztuk. W niektórych kotłach można było naliczyć do stu kilkudziesięciu sztuk, defilujących w wielkich stadach — kozły w ordynacyi strzela się tylko na pirszu, pada ich przeszło dwieście rocznie.

W Kotlicach, w pow. jędrzejowskim, w d. 3 b. m. u p. Franciszka Chelińskiego odbyło się pod kierownictwem p. Henryka Rudzkiego polowanie w 10 strzelb, na którem padło 77 zajęcy. Najwięcej na rozkładzie miał p. Józef Doskowski (14 zajęcy).

W Brzeziu, u bar. Kronenberga odbyło się polowanie w 8 strzelb, które dało niezwykłe rezultaty. W poniedziałek, d. 3 b. m. myśliwi polowali tylko od 9-ej do 12-ej w południe, bowiem deszcz i wiatr poprostu uniemożliwił chodzenie nagance. W środę zaś, d. 5 b. m., polowano cały dzień. Na rozkładzie dwudniowym znalazło się 655 zajęcy i 45 kuropatw. Królem polowania był ks. Seweryn Czetwertyński, który miał na rozkładzie 130 sztuk.

Na polowaniu w d. 5 b. m. w Nieznanicach (pow. noworadomski) u p. Aurelego Wünsche w 7 kotłach i 4 leśnych pędzeniach padło 509 sztuk zwierzyny na przestrzeni około 50 włók, a mianowicie: 465 zajęcy, 26 kuropatw, 7 bażantów i 11 królików. Królem polowania był brat gospodarza, p. Feliks Wünsche, przy 48 sztukach na rozkładzie.

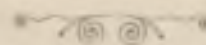
W d. 7 b. m. odbyło się polowanie Członków Towarzystwa prawidłowego myślistwa na terenach Miedzeńskich, w obrębie Jartypory. We 20 strzelb zabito 302 zające, 37 kur, 2 kozły i lisa. Królem był p. Br. Wysocki, który miał na rozkładzie 33 zające, 4 kury i lisa.

W d. 15 b. m. odbyły się dwa polowania Członków Tow. praw. myśl. na dzierżawionych terenach.

W dobrach Osieckich, w obrębie Łucznica Górna polowano w 20 strzelb i zabito 169 zajęcy, 4 kuropatwy i 1 cietrzewia. Królestwo podzieliło się pomiędzy p. Aleksandrem Giełżyńskim, mającym 16 zajęcy, a p. Józefem Zirembskim, który miał 13 zajęcy i 1 kuropatwę, co stanowi punktów 16.

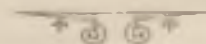
Myśliwi na wniosek prowadzącego polowanie postanowili opodatkować swoje zabite zające na rzecz budowy ołtarza św. Huberta, do wysokości 10 kop. od zabitej sztuki. Było to minimum składanych ofiar, chociaż niektórzy myśliwi składali datki większe. Zebrano wogóle 17 rb.

W dobrach Miedzeńskich w obrębie Tchórzewa polowano w 20 strzelb i ubito 212 zajęcy i 9 kuropatw. Królem polowania był p. Wład. Starzyński, mając na rozkładzie 18 zajęcy i 3 kuropatwy.



Na ołtarz św. Huberta.

Złożono w Redakcyi „Łowca Polskiego“:	rb
Redakcya „Łowca Polskiego“	10
Na zebraniu towarzyskiem Członków Tow. pr. myśl. w d. 12 grudnia złożono	21
Uczestnicy polowania na Łucznicy Górnej w d. 15 b. m. złożyli: pp. Jan Lilpop rb. 1 k. 20, Kazimierz Hordliczka 70 k., Al. Giełżyński rb. 1 kop. 60, Bohuszewicz Kazimierz 60 k., dr. St. Kurtz rb. 1, Henceberg Wilhelm rb. 1, Wiktor Koelichen rb. 1, Sąchowski rb. 1 k. 10, Flat rb. 1, Leśniewski rb. 1, Dzięgielewski rb. 1 k. 30, Jankowski rb. 1, Szeligowski Jerzy k. 90, Józef Chodakowski k. 60, Domaszewski k. 90, Kazimierz Gadomski k. 80, J. Zarembski rb. 1 k. 30. Razem	17
Ogółem wpłynęło składek	rb. 48.



Drobiazgi myśliwskie.

Strajk naganki. W Dębowej Górze, pod Skierniewicami, w majątku p. Jerzego Ostrowskiego, odbyło się w d. 1 grudnia doroczne polowanie w 12 strzelb z naganką. Kiedy myśliwi wyszli w pole i polowanie zacząć się miało, nagle naganka zastrajkowała, żądając znacznie wyższego wynagrodzenia, niż się poprzedniego dnia zgodziła. Wobec tego właściciel majątku posłał po swoją służbę do folwarku i dopiero po jej przybyciu polowanie się rozpoczęło, co zabrało kilka godzin czasu. Widząc przybywających parobków z posyłkami, naganka odrazu zmiękła w swoich żądaniach i gotowa była płoszyć zające bez żadnego podwyższenia wynagrodzenia, na co się jednak nie zgodzono. Na całym tym oryginalnym strajku najlepiej wyszły zające, zabito ich bowiem tylko sto sztuk, zamiast spodziewanych przynajmniej dwustu.

Polowanie na jaskółki. Jaskółki na jesieni ciągną stadami przez półwysep Bałkański i przez Włochy, a dalej po nad morzem Śródziemnem do Afryki północnej, gdzie zimę spędzają. W czasie przelotu przez Włochy, mnóstwo ich pada ofiarą łakomstwa miejscowej ludności, która ptaszęta te uważa za przysmak

i łowi je w rozmaite sposoby. We Włoszech też jaskółki nie zatrzymują się na czas dłuższy i tylko w przelocie tam bawią.

Drapieżność dzika. W Lotaryngii ubito niedawno dzika w chwili, gdy zajadał młode koźlę sarnie, przezeń zabite.

Z polowań w Sudanie. Myśliwy angielski Gordon, polując w Sudanie od d. 25 lutego do 6 marca 1904 roku, oraz od d. 26 lutego do d. 28 marca 1905 roku, ubił: w lutym pierwszego roku 2 kozły bagniste, hyenę, aryela i 2 lwice; w marcu — 2 słonie, 2 aryele, 3 hipopotamy i 3 krokodyle; w lutym następnego roku krokodyla i gęś ostrogowatą; w pierwszej połowie marca 3 gęsi ostrogowate, 1 czarną, 2 gazelle, 2 aryele, 2 dik-dik'i, 1 kozła bagnistego, w drugiej połowie: 2 tiang'i, 3 aryele, 1 dik-dik'a, 2 kozły bagniste, 3 krokodyle, 2 antylopy „roan".

Lwom na pożarcie. W Rio de Janeiro, wicehrabia Ameida, znany lew salonów, po hulance w wesołem towarzystwie, wszedł do klatki ze lwami i został przez rozjątrzone zwierzęta rozszarpany. Ameida wypożyczył na ten cel lwy podróżującej menażeryi; wydobyto go z klatki konającego. Przed śmiercią zeznał, że chciał umrzeć w sposób sensacyjny, podobnie jak żył, gdyż uprzykrzyło mu się hulaszcze życie.

Orzeł przez okno wleciał zrana do mieszkania nadleśniczego pod Monachium. Był to młody ptak, którego skrzydła rozłożone mierzyły $1^{1}/_{2}$ m. Nadleśniczy zamknął okno i złowił ciężko zranionąe, z powodu uderzenia o twarde przedmioty, zwierzynę, która zaraz zdechła.

Z badań nad orłami. Szwajcarskie pismo myśliwskie „Dyana" pisze: „Prosimy naszych czytelników, zamieszkałych w Alpach, w interesie nauki nas zawiadomić, czy istotnie istnieją zupełnie pewne dowody, że orzeł-łomignat, czy to zraniony, czy jako matka przy pieleszu, rzuca się na człowieka i atakuje go. Słynny ornitolog, O. Reiser, kustosz muzeum narodowego w Sarajewie, który bliżej się zapoznał z orłami w Bośnii i Hercogowinie, wyraża wątpliwość co do podobnych opowiadań. Wiarogodnem byłoby w tym wypadku świadectwo szwajcarskich myśliwych alpejskich, którzy mają sposobność obserwowania łomignatów".

Psy sułtana. Przed drzwiami pokoju, w którym sułtan turecki przebywa, spoczywają zawsze dwa wspaniałe dogi, obdarzone wielką siłą i stosownie wytresowane.

Pies dobroczynny. W Londynie zdechł niedawno dzielny pies, który całe życie zajmował się ulżeniem niedoli ludzkiej. Przebywał na dworcu Paddington, nosząc na szyi puszkę, do której zbierał od podróżnych datki na rzecz sierot i wdów po urzędnikach kolejowych. Obliczono, że w przeciągu 10 lat nazbierał conajmniej 8,000 rb. Był w Londynie powszechnie znany, a wielu dygnitarzy, nawet sama królowa, nigdy nie omijała sposobności wrzucenia datku do puszki, przechodząc w pobliżu dworca Paddington.

Toalety i psy. Najnowsza moda amerykańska nakazuje, aby piesek faworyt zastosowany był do stylu toalety, oraz jej garnirowań. I tak np. uzupełnieniem toalety, ozdobionej ruszami i koronkami, powinien być piesek długowłosy, odpowiadający kolorem sierści głównemu tonowi sukni. Do wysmukłych, prostych linij sukni princesse, pasuje chudy, gładki fox-terrier; do sukni wieczornej z puszystym trenem odpowiedni jest szkocki pies owczarski z ogonem strzępiastym. I tak panie amerykańskie mają teraz nielada kłopot z dobraniem psów do toalet, czy też toalet do psów.

Przygoda przed polowaniem. Pisarz angielski Baring Gould opowiada arcyciekawy w swoim rodzaju wypadek, który zdarzył się p. Wilhelmowi Jonesowi. Był to człek bardzo rozsądny, jak to mówią: tęgi chłop, sportsmen, wesoły współbiesiadnik i siłacz. Naturalnie, strachów się nie bał. Pewnego dnia zaproszono go na polowanie. Wieczorem właściciel willi rzecze doń: „Mój kochany, mam, niestety, jeszcze tylko jeden mały pokoik wolny, ale tam straszy..." „Niech sobie straszy — odparł Jones — włożę rewolwer pod poduszkę, a jak strach przyjdzie, to mu dam taką pamiątkę, że odrazu pozna, z kim ma do czynienia". Po wieczerzy, idąc na spoczynek, uczynił Jones tak, jak zapowiedział, włożył rewolwer pod poduszkę. O północy zbudził się nagle i uczuł dreszcze. Do pokoju wpadło słabe światło księżyca w ostatniej kwadrze. Wtem — ledwie oczom swoim wierzy — ponad dolnem brzegiem łóżka sterczą dwie białe ręce. Jones dobywa rewolweru i woła: „Hej! ty, słyszysz? precz z rękami, bo strzelam". Duch nie zwraca na to uwagi, ręce sterczą. „Słyszysz — woła Jones powtórnie — do trzeciego razu, jak nie odejmiesz rąk — strzelam". Ręce nie ruszają się z miejsca. „Raz, dwa, trzy..." Pada strzał. Od owej nocy Wilhelm Jones nie jest w stanie zrobić dobrego skoku, bo ustrzelił sobie dwa palce u lewej nogi. Wziął bowiem własne nogi za ręce ducha.

* * *

Myśliwy z browningiem. — Jak się ma pani Marcinowa; czy zastałem męża?

— Poszedł na polowanie.

— Z dubeltówką?

— Nie; z „browningiem".

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (C. d.).

Pies.

79. Kiedy pieska biją, i lewek się boi.
80. Kiedy pies śpi, żyd przysięga, pijany się modli, a białogłowa płacze, rzadko wierzyć trzeba.
81. Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie.
82. Kto psa obcego trzyma, ten oprócz sznurka, żadnego użytku niema.
83. Kto trzyma dużo psów i koni, taki rychło majątek strwoni.
84. Kto ze psy lega, ten ze pchłami wstaje.
85. Lepszy pies, co szczeka, niż kot, co się łasi.
86. Łacno o kij, kto chce psa bić.
87. Łacno wygnać psa z budy, ale trudno go napędzić.
88. Ma go za psa.
89. Małe pieski najwięcej szczekają.
90. Małe pieski szczekają, a duże kąsają.
91. Małe pieski więcéj dokuczą, niż wielkie.
92. Mały piesek do starości szczenięciem.
93. Ma psi węch.
94. Najgorszy to pies, co milczkiem gryzie.
95. Na psa urok.
96. Na psie zęby ma kot pazury.
97. Nie boi się wilk psa, tylko szczekania jego.
98. Nie bój się tego psa, który szczeka.
99. Nie chciała psia noga być na stole, nie będzie pod stołem.
100. Niech pies szczeka jako chce, byle cię nie ukąsił.
101. Nie ciągnij psa za ogon, bo cię ukąsi.
102. Nie czas psy karmić, kiedy trzeba iść na polowanie.
103. Nie darmo pies szczeka.
104. Nie dla psa kiełbasa.
105. Nie dla psów migdałowa polewka.
106. Nie drażnij psów, póki's we wsi.
107. Nie jeden rudy pies na świecie.
108. Nie jednemu psu Bryś.
109. Nie jednemu psu „na to".
110. Nie każdy pies łysy.
111. Nie kąsa ten piesek, co opodal szczeka.
112. Nie miec sadła na psa, bo je zje.
113. Nie myśl nigdy o tem, aby pies jadł z jednej miski.
114. Nie nakarmi ten żywota, co wlazł między psa i kota.
115. Nie od jednego psa szczwany.
116. Nie płynie piesek, aż ogonek zamoczy.
117. Nie podejmuj się pieska, legawego pola.
118. Nie porwie tego pies, co wilk puści.
119. Niestety — zjadł pies kotlety.
120. Nie trzeba psu łyżki, aby se wziął z miski.
121. Nie wierz psu, choć się łasi.
122. Nie wytrwa psia noga na ławie, musi być pod ławą.
123. Nie zaczepiaj psa na drodze.
124. Nie zawsze dobry pies dobrą kość dostanie.
125. Nie zje pies gnata, i drugiemu nic da.
126. Nieznajomemu psu nie trzeba dowierzać.
127. Ni pies, ni bies.
128. Ni pies, ni koza.
129. Ni pies, ni wydra, coś nakształt świdra.
130. Ni to pies, ni kij sękaty.
131. Ni to pies, ni to baran.

132. Objąwszy psa, będzie płakać.
133. On psu drogi nie pokaże.
134. O psa i chłopa najłatwiej.
135. Pański pies, pański owies.
136. Pierwsze psy, koty za płoty.
137. Pies bojaźliwy więcej szczeka, niż gryzie.
138. Pies by się urwał z łańcucha.
139. Pies, co bardzo szczeka, nie bardzo kąsa.
140. Pies, co szczeka, przestrzega.

(*C. d. n.*)

SPROSTOWANIE.

W ostatnim opisie polowania „Kroniki myśliwskiej" w Nr. 23 „Łowca Polskiego" przez omyłkę zecerską wypuszczono wyraz „czterdzieści". Powinno zatem być, że królem polowania był p. Józef Czarnowski, mając na rozkładzie czterdzieści kilka zajęcy i 4 kuropatwy".

Treść Nr. 24 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Ś-to Krzyska 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.